Nr. 37. We Lwowie dnia 16. września 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

— Ali Tebelen! — powtórzył każdy z siedzących, wyjmując lulkę z ust i puszczając kłąb dymu.

— Znam go! — zawołało kilka głosów.

— Mówcie! — odparł starzec.

— Nienawidzi Turków! — zawołał jeden.

— Nienawidzi nas — w tonie protestacji ozwał się drugi.

— Kocha Francuzów!

— Kuma się z Anglikami!

— Porozumiewa się z Rosją!

— Dosyć — ozwał się starzec — znam i ja go; a wiecie wy, co to za człowiek? ja wam opowiem. Paszałyk Janiny nie widział jemu podobnego potwora, a wątpię, czy i ziemia takiego zobaczy. Zbrodniarz, który dla siebie popełni największą zbrodnię, morze krwi rozleje, kamienia na kamieniu nie zostawi, okradnie, zrabuje, a gdyś mu potrzebny, stopy twoje lizać będzie. Widziałem go, jak mordował własnego szwagra, paszę Argirokastru, a nad jego trupem żenił się z jego wdową, a swoją siostrą własną; widziałem go w świetle łuny pożarów spalonych wiosek doliny Tempe; widziałem pijącego z Anglikami grog, z Francuzami wino; widziałem całującego ręce posłów; widziałem...

Tutaj starcowi przerwał mowę gwar kobiecy, który wszystkich uwagę zwrócił. Podnieśli oni głowy w stronę, z której hałas dochodził.

— Kostaki, Kostaki! — wołały kobiety. — Taki blady, taki mizerny; co tobie?...

Za chwilę do ogniska wsparty na ramieniu jednej z dziewojek przybliżył się młody chłopiec o twarzy bladej, dziecinnej prawie, oczach czarnych, rzucających płomienie i rozwianym w nieładzie włosie długim. Głowę czarną swoją wsparł na ramieniu kobiety, która go trzymała za rękę, pierś wznosiła się szybko, oddychał, jakby nie był w stanie chwytać powietrza i tylko patrzył bezustannie w rysy tej, która była najbliżej niego, a która drugą ręką układała mu włosy, rozrzucone w nieładzie na czole.

— Kostaki — szeptała — uspokój się, odetchnij, mów, co się stało. Grygory i nasi cię wysłuchają; nie patrz tak strasznie.

Starzec od ogniska wstał i zbliżył się ku dziecku, które widocznie z przerażenia mówić nie mogło.

— Mów — ozwał się łagodnie.

Chłopię ocknęło się, oprzytomniało nagle i z jękiem, ze szlochem, wyrzuciło wyrazy z piersi:

— Parga gore! Ali Teleben morduje, morduje wszystkich, oh! patrzcie tam!

Tu wyciągnął rękę w stronę zachodnią doliny i głośno zaszlochał.

Starzec wyprostował się, chwycił za jatagan, który u boku mu wisiał, zwrócił się do tych, którzy siedzieli i ryknął prawie:

— Tak ja go widziałem, a teraz wy patrzcie, gdzie pokazuje Kostaki!

Wszyscy wytężyli swój wzrok w stronę łuny i nagle, jakoby z jednych piersi, ozwał się okrzyk:

— Śmierć Alemu!

— Za mną — ozwał się starzec, i w tejże chwili ognisko zagasło, wszystko, co żyło, zerwało się na równe nogi i ustawiło koło starca, podobnego z pałających oczu, z gwałtownie ściskającej jatagan pięści, do gromonośnego Zeusa, który kiedyś z tych samych gór pioruny ciskał.

Parga coraz jaśniej świeciła w ciemnościach; kłęby dymu i ognia coraz wyraźniej rysowały się w oczach gromady Kleftów.

— Niema czasu do stracenia — szepnął Grygory. — Za mną!

I cały oddział szybko, cicho począł zsuwać się z góry.

Kobiety jedne szły za nim, drugie gasiły ognisko.

— Co? Kostaki! — zawołała jedna z nich — i ty chcesz iść z nimi?

— A pójdę — była odpowiedź.

— Zabiją cię tam, zarzną; poczekaj, aż dorośniesz. Ali nie żartuje!

— Długo czekać — odpowiedziało pacholę — a jak Ali nie żartuje, widziałem ja; tam w dole zostali moi, muszę ich bronić, lub razem z nimi zginąć!

— A Roksanda co uczyni, jak zginiesz? — zawołała najbliżej niego stojąca kobieta.

Chłopiec się zatrzymał, coś jakby łza zamigotało mu na rzęsach, i zwrócił oczy na młodziutkie dziewczę, ale już dojrzałe, bo tam na południu kobiety szybko bardzo dojrzewają; we wzroku tym nie trudno było odczytać toż samo pytanie, które przed chwilą brzmiało w powietrzu.

Ta, o której mówiono i do której Kostaki się zwrócił, jednym skokiem była przy nim.

— On wie, on wie — szeptała gorączkowo, gwałtownie prawie. — Niech idzie, ja za nim poniosę strzelbę.

Łza zniknęła z oczu chłopięcia; wyprostował się dumnie, a na blade jego policzki wystąpił rumieniec.

— Patrz, jak szybko uchodzą! — zawołał — idę z nimi.

— I ja z tobą — odparło dziewczę, chwytając z ziemi porzuconą janczarkę.

I poszli, a nikt się nawet tym dwojgu nie dziwił dzieciom, nikt tamy ich krokom nie kładł, bo każdy już do takich objawów był przyzwyczajonym, każdy na nie patrzał codziennie.

Ze szczytów Peljonu oddział Kleftów schodził powoli, a tak cicho stąpał, że go słychać nawet nie było. Tu i ówdzie przy żołnierzu postępowała kobieta, dźwigając sakwy z prochem i zapasową janczarkę.

Wkrótce cały oddział z gór cicho, jak wąż, ześlizgiwał się do Pargi, która w płomieniach stała.

A tam hulał Ali Teleben, jak szatan na dzielnym bachmacie uwijając się śród płonących chat.

Cała dusza namiętna, dzika, żądna krwi malowała się na tej twarzy oliwkowej cery, osłoniętej czarną, krótką brodą i takiemiż wąsami.

Turban jaskrawych kolorów na głowie dodawał jeszcze demoniczności temu rycerzowi nieszczęścia. Wówczas, gdy Spahowie mordowali starców, kobiety i dzieci, a co chwila w powietrzu rozlegał się krzyk konającego, on na swoim koniu uśmiechał się, a uśmiech ten okazywał dwa rzędy białych zębów i usta różowe, niby karmin.

Zdawaćby się mogło, że ten ogień i te krzyki sprawiają mu taką przyjemność, jak naprzykład kielich dobrego wina lub uśmiech ładnej odaliski w haremie.

Tak, ten człowiek dla krwi się urodził.

Czauszowie dorzynali już reszty, gdy naraz jak wicher, jak uragan ozwał się głos kilkudziesięciu piersi:

— Smierć Turkom! śmierć Alemu!

Ali na koniu drgnął, dwa rzędy białych zębów pokryły wargi i zacisnęły się gwałtownie. Ali znał ten okrzyk, przed którym nieraz już zmuszony był uciekać; obejrzał się trwożliwie i przestrach znów zarysował się na jego twarzy.

— Psy chrześcijańskie — wycedził przez zęby.

A psy chrześcijańskie tymczasem mściły się dzielnie za wyrządzone sobie krzywdy. Na brzuchach podsunęli się pod płonącą Pargę i na wstępie zaraz kilkunastu czauszów padło od ich jataganów.

Ali gwizdnął na odwrót, ale i gwizdać nie potrzebował, bo jego żołnierze do krwawych zapasów piersią w pierś przyzwyczajeni nie byli; wiedzieli, że ten okrzyk nie wydobywał się z gardła Kleftów jako pusty frazes, że przed nim lepiej uciekać było.

Już więc cała ich gromada biegła ulicami. Pargi do swego przywódzcy, a za nią świstały kulki.

Ali niespokojnie się oglądał i coraz gwałtowniej gwizdał; przy nim stały wory, naładowane zdobyczą, zabrane trzody; to było głównym celem wyprawy.

— Nazad, nazad, z powrotem! — wołał zaperzony, biczując grzbiety żołnierzy.

— Do wozów, do bydła! — I kręcił się na koniu wzburzony cały.

— Tam, tam on, Kostaki! — zabrzmiał głos jakiś niewieści w tym zgiełku i gwarze. — To on, Ali, morderca twojej matki!

Ali obejrzał się i ujrzał paszczę garłacza w ręku dziecka o czarnych oczach i bladej twarzy, a przy nim stojące dziewczę, którego głos spokojny, wyraźny, dochodził do uszu muzułmańskiego baszy.

— Mierz dobrze — wołało — i pal!

Z garłacza zionął ogień, i Ali Teleben byłby niezawodnie poszedł osobiście witać się tej nocy z Mahometem, gdyby w chwili strzału koń jego nie wspiął się na tylne nogi i w swoje piersi kul dla pana przeznaczonych nie odebrał.

Koń powalił się wraz z jeźdźcem na ziemię. Ali zerwał się natychmiast i na innego wskoczył. Wszystko się to stało prawie w jednej sekundzie. Zołnierze Alego już otoczyli go w koło; muły i konie poszły szybko naprzód, pognane batami czauszów. Ali jak strzała poleciał na koniu w stronę Janiny. Nie obejrzał się nawet za tym oddziałem, który prowadził zdobycz, chociaż co chwila jego uszu dochodziły strzały garłaczy, które doskonale rozeznać umiał i o których wiedział, że pozostawiają po sobie krwi ślady.

Nie oglądał się, bo wiedział, że nikczemnego tego żołdactwa zostanie jeszcze tyle przy życiu, że mu będą w stanie zdobycz odstawić.

No! gdybyż zapomnieli o tem! W Janinie czeka tyle palów ostrych na ich ciała.

Na pobojowisku tymczasem strzały milkły; Klefty zapędzili się dalej za uciekającą zdobyczą, a na zgliszczach została się tylko Roksanda i Kostaki.

On znów głowę oparł na jej ramieniu, znów oczy zaszły mu łzami i, patrząc na zgliszcza, szeptał:

— Biedna Grecjo!

O, było nad czem płakać, śród tych zgliszcz i śród jęków, rozdzierających powietrze i serca. Kostaki w tym mordzie stracił wszystko i rodzinę i domek; nic się po nich prócz popiołów nie zostało.

C. d. n

Listy naukowe.

Badania ekonomiczne nie wyszły jeszcze w zupełności z okresu metafizycznego. Cechą ich była metoda dedukcyjna, modła absolutna, charakter analityczny, stanowisko indywidualizmu i prywatnego interesu. Wpływ filozofji pozytywnej Augusta Comte'a sprowadził wielką odmianę w tych badaniach — jak to dobrze wykazał Ingram w swojej »Historji ekonomji politycznej«. Wpływ Comte'a nie był bezpośredni, lecz pośredni. Ukonstytuowanie nowej nauki: socjologji, wytknęło badaniom oddzielnych zjawisk życia społecznego kierunek dośrodkowy, mający na celu objęcie i zrozumienie całości; wytworzyło pomiędzy oddzielnemi i licznemi naukami społecznemi łączność i wzajemność i dało właściwą im podstawę: społeczną. Zamiast prywatnych interesów, które przeważnie mieli na oku: Adam Smith, Maltus, Ricardo, Say i ich kontynuatorowie, socjologja wskazała badaniom ekonomicznym: interes społeczny.

Adam Smith, wyjaśniając ze stanowiska prywatnych interesów stosunki ekonomiczne, uwzględniał tylko ich stronę egoistyczną: chęć zysku. Ekonomiści poszli za jego przykładem. To musiało wywołać protest: pojawili się więc socjolodzy, którzy przeciwko egoizmowi postawili zasadę miłości bliźniego. Próbowano oba te kierunki pogodzić. Biorąc na uwagę, że człowiekiem nie sam egoizm kieruje, lecz w znacznym stopniu przejawia się w nim także i altruizm, mniemano, że słuszną jest rzeczą w badaniu stosunków ekonomicznych uwzględniać równocześnie i równomiernie oba te czynniki. Takie stanowisko zajął pomiędzy innymi niedawno zmarły profesor krakowskiego uniwersytu, Lotar Dargun (Egoismus und Altruismus in der National-Ökonomie, Leipzig, 1885). Objąwszy zespolenie egoimu z altruizmem ogólną nazwą mutualizmu, właśnie w społeczeństwie upatruje naturalny wzór onego. Niezawodnie, że jak w człowieku, tak i w społeczeństwie, obok dążności egoistycznych są także i altruistyczne, lecz Dargun, przy ocenianiu tych dążności, poszedł drogą dawnych ekonomistów, to jest zwrócił przeważnie swą uwagę na interesy prywatne. Z toru więc metafizycznego nie zeszedł.

W każdym społecznym organizmie jest interes ogólny, czyli publiczny i są liczne interesy prywatne. Interesy te krzyżują się i wzajemnie zwalczają. Najsilniejszym bezsprzecznie jest osobisty z wielką przewagą cech egoistycznych, a z tego powodu bywa często nietylko niesprawiedliwy, lecz nieraz nawet nierozsądny. Z doświadczeń życia codziennego wiemy, że gonitwa za łatwym, prędkim i wielkim zyskiem naraża na ogromne niebezpieczeństwa i na kilku, szczęśliwie dobiegających do upragnionej mety, setki po drodze tracą zdrowie, mienie, stanowisko społeczne, sławę, albo kończą tak smutnie, jak Reinach i Hertz. W interesie więc nawet osobistym człowieka jest zespolenie onego z ogólniejszym: rodzinnym, korporacyjnym, narodowym. Anarchiści, przenosząc punkt ciężkości do dziedziny interesów osobistych każdego, wykraczają przeciwko kardynalnej zasadzie socjologicznej, która w górowaniu najogólniejszego społecznego interesu po nad mniej ogólnemi, a nadewszystko osobistemi, widzi nietylko dobro całego społeczeństwa, lecz także i dobro oddzielnych jego części i pojedyńczych członków.

Jeżeli w zapatrywaniu się naszem na stosunek interesów osobistych i rodzinnych do najogólniejszego społecznego panuje niemal powszechna zgodność, to wcale tego nie można powiedzieć o zapatrywaniu się na stosunek interesów korporacyjnych, czyli klasowych do ogólnego. Nietyle Marx, ile Engels, uwydatniając wielką rolę dziejową walki klasowej natchnął wielu tą myślą, że interes klasowy jest najwyższy i że o żadnem jego podporządkowaniu mowy być nie może.

Ze walka wszelkich interesów, a więc i klasowych, cechowała i cechuje dzieje ludzkości, jest to prawda oddawna znana. Zaznaczył to bardzo wymownie Bazard w swoich wykładach, poświęconych nauce Saint-Simona. Nazwawszy walkę tę interesów stanem antagonizmu, słuszne jednak uczynił on spostrzeżenie, że w miarę rozwoju społeczeństw i dojrzewania umysłowego ludzkości, walka ta, na początku powszechna i gwałtowna, zmniejsza się i łagodnieje. Wraz z rosnącą oświatą, wzmaga się zrozumienie ogólniejszych wspólnych interesów, które pobudza do coraz odpowiedniejszego przeobrażania organizacji społecznej. Wcale to nie przeczy temu, że ustrój produkcji wpływa także na odmienianie się stosunków społecznych. Lecz socjolog, który nie zapomina o organologicznem pochodzeniu człowieka i pamięta o tem, że rozwój tylko organu

umysłowego wyprowadził człowieka ze stanu zwierzęcości, nigdy nie zgodzi się na to, ażeby rozwój umysłowości miał być podporządkowany rozwojowi i ukształtowaniu pracy wytwórczej. Niepodobna przypuszczać, ażeby wynalazki i odkrycia, które rozszerzały zakres czynności wytwórczej i nowe doskonalsze jej sposoby zaprowadzały, były tylko wypadkiem jakiegoś trafu ślepego. Przeciwnie, zupełnie łatwo możemy je sobie wytłómaczyć, jako następstwo większego doświadczenia, i wzrostu nabytych wiadomości.

Niewątpliwie, że walka klasowa, odbiła się potężnie i w tem wielkiem wstrząśnieniu, które w końcu XVIII. stulecia rozpoczęło nową dobę dziejów ludzkości. Lecz byłoby jednostronnem, gdybyśmy objaśniali owoczesne wypadki ze stanowiska li tylko klasowych interesów, jak to uczynił Karol Kautsky w swojem dziełku p. t. »Die Klassengegensätze von 1789« (Stuttgart, 1889). Ta już okoliczność, że wstrząśnienie to ogarnęło społeczeństwa, pod względem ustrojowym zupełnie odmienne, przekonywa, że nie było ono związane wyłącznie z interesem jednej jakiej klasy. We Francji walił się w gruzy porządek feudalny, dalej ku Bałtykowi znoszono poddaństwo, a na wyspie St. Domingo rozbijano kajdany niewoli. Mam tu na myśli społeczno-ekonomiczną tylko stronę wypadków. Cechą ich jednak ogólną był protest czynny przeciwko dawnemu porządkowi, który opierał się na dwóch kamieniach węgielnych: przymusie i przywileju.

Walka klasowa albo za mało, albo za wiele mówi. Ani walka, ani istnienie klas nie jest bezwzględnie szkodliwem. Walka jest warunkiem życia, a w każdym razie postępu. Chodzi tylko o to, ażeby jej nie towarzyszyły niesprawiedliwość i gwałty. Podział społeczeństwa na klasy, oparte na różnorodności zajęć nie sprzeciwia się także rozwojowi w niem silnego poczucia solidarności. Klasa rolnicza, przemysłowa, podzielcza, komunikacyjna, naukowa i t. d., mając w pewnej mierze różne interesy, mogą ścierać się ze sobą, ale ta walka klasowa do lepszego tylko układu współdziałających sił prowadzić będzie.

Jeżeli weźmiemy na uwagę obecny ustrój społeczno-ekonomiczny, to badając jego warunki, przekonamy się, że ogromne powikłanie ścierających się interesów sprowadza nie jedną walkę klasową, ale liczne walki klasowe. W tem powikłaniu tylko drogą abstrakcji, uogólnienia dochodzimy do oznaczenia dwóch głównych interesów, w zupełnem przeciwieństwie znajdujących się do siebie. Jednym chodzi o zachowanie tego, co posiadają; drugim o zdobycie tego, czego nie mają. W życiu jednak przeciwieństwo to jest mocno zamaskowane. W klasie posiadającej interesy rolników, fabrykantów, majstrów rzemieślniczych, kupców pod wielu względami są różne. Rolnicy żądają polityki ochronnej dla rolnictwa krajowego, dla przemysłowców zaś jest korzystny swobodny przywóz zboża. Natomiast ci ostatni pragną zaprowadzenia ceł ochronnych na wyroby przemysłowe, a temu są przeciwni, ze względu na własny interes, rolnicy. Jedni i drudzy sprzeciwiają się zupełnej wolności handlu z innemi krajami, a tymczasem kupcy domagają się tej wolności. Rzemieślnicy uważają za konieczne, aby pewną pracą zawodową mogli zajmować się tylko ci, co posiadają potrzebne w niej wiadomości i wprawę; fabrykantom zaś są niekorzystne podobne ograniczenia i domagają się oni nieograniczonej wolności w wykonywaniu pracy zawodowej. Finansiści, organizując kredyt, mają na myśli własny interes i wcale nie wahają się podkopywać istnienia posiadaczy rolnych i przemysłowych. Drobni właściciele rolni nie mogą wytrzymać współzawodnictwa z wielkimi. Więksi fabrykanci krzywdzą mniejszych, i Marx przytacza wypadek, kiedy ci ostatni w Anglji w 1871 r. podtrzymywali robotników fabrycznych w walce ich o dziesięciogodzinną pracę (»Kapitał«, 1883, I, 261).

(Dok. nast.).

Dla biednych bezpłatnie od 8—9 rano.

Był w Berlinie, w Pradze, w Paryżu i przywiózł stamtąd do ojczyzny huk wiedzy, doświadczenia i serca.

Wyjmował zęby i korzenie bez wszelkiego bólu, wedle najnowszej mody, systemem amerykańskim, wstawiał całe szczęki i poszczególne zęby, plombowanie wykonywał złotem, amalgamem, cementem — i ordynywał od 8—9 rano bezpłatnie.

Wieść o tem rozeszła się nadzwyczaj szybko, nawet między tym ubogim, szarym tłumem, co gazet nie czyta.

Zegar pobliski wydzwonił ósmą. Do poczekalnego salonu dentysty wcisnęło się nieśmiało kilka osób i zbiło w gromadkę koło pieca. Nie zachwycają ich hebanowe meble, perłową masą inkrustowane, arcydzieła sztuki, porozwieszane na ścianach, ni nowości literackie, zręcznie na małych stolikach rozrzucone. Każdy myśli tylko o swoim dolęgliwym bólu — i o tem, jak podziękować temu dobroczyńcy, co się ulitował ich cierpieniu i nędzy, co im tak bezinteresownie pospiesza z pomocą. Wzrok utkwili w drzwiach, prowadzących do sąsiedniego gabinetu — i czekają...

Ten wyrobnik w niebieskiej bluzie, przepasany grubym powrozem, od trzech dni nie zarobił ani grosza. Zębiska go tak bolą, że się ino tłucze po izbie i przeklina. Wczoraj w złości wybił niesłusznie »swoją«, co ma małe przy piersi. Rozmyśla teraz nad tem i robi mu się

w sercu żałośnie. Niech mu jeno doktór ten ból odejmie, a poprawi się. Przeprosi kobietę, a jak będzie miał zarobek, to jej kupi tę malowaną skrzynię, do której od tak dawna wzdycha...

Za plecami wyrobnika chowa się młody chłopak. Ukończył chlubnie gimnazjum i za kilka tygodni będzie akademikiem. Nie ma znikąd pomocy i musi liczyć jedynie na własne siły. Gdyby miał znajomości, miałby i lekcje; ale on jest w tem wielkiem mieście obcy — zupełnie obcy. Od dwóch tygodni jada już tylko po kilka bułek dziennie, zapijając je wodą. Zmęczony jest, zdenerwowany i bardzo zniechęcony. Rozdraźnia go też niemało ten ząb, co mu od tygodnia dolęgliwie dokucza. Ale niech no się go pozbędzie, pójdzie jeszcze do starszych akademików, poprosi ich o pamięć, o protekcję... i jakoś to będzie. Coby on robił, gdyby nie bezpłatna wizyta tego zacnego lekarza? Klinika jeszcze nie otworzona, a tu w tym szalonym bólu każda minuta wiekiem się wydaje.

W kącie, na otomanie przysiadła młoda dziewczyna. Ona, bo już najbiedniejsza ze wszystkich. Nie tylko siebie, ale matkę ociemniałą i siwego dziadusia wyżywić musi, — a wszystkiemu podołać mają te drobne, szczupłe ręce, które teraz tak kurczowo zaciska. Jutro musi zapłacić komorne i za chleb w sklepiku. Nieludzka ta piekarka! Wybiegła dziś za nią na ulicę i głośno o pieniądze wołała. Jutro już się to nie powtórzy. Opóźniła się nieco z robotą przez ten szkaradny ząb, co jej ni spocząć, ni pracować nie daje. Nie miała odwagi pójść do »mateczek«. Służącej od komisarzów podobno z kawałkiem szczęki ząb wyrwały; nie znieczulają nerwów, a przytem po kilka godzin oczekiwać trzeba, nim zejdą z chóru. Ale teraz z łaski tego zacnego człowieka, za małą chwilkę będzie wolną od bólu. Pospieszy potem do domu i wykończy tę śliczną suknię, w której wieczorem hrabianka tańczyć będzie. Żeby się tylko jak najprędzej ukazał doktór.

Utkwiła wzrok w drzwiach, prowadzących do gabinetu lekarza.

A w gabinecie, w biegunowem krześle, bujał się młody człowiek o czarnym wąsiku i takiej samej bródce w klin. Białą ręką gładził owe wąsiki i rozkoszował się wonią ulubionego hawanna.

Na wieżowym zegarze wybiły trzy kwadranse na dziewiątą. Młody człowiek wstał, ziewnął i przeciągnął się niedbale.

— Dużo się tam tego dziadowstwa zebrało? — zapytał starego służącego.

— O, jest tego dosyć. Pan doktór będzie miał wielką zasługę przed Bogiem i przed ludźmi...

Doktór się skrzywił. Nie o zasługę mu chodziło, gdy się ogłaszał w dziennikach, nie o zasługę — lecz... o popularność.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich młody człowiek o czarnym wąsiku i takiej samej bródce w klin.

Zmrużonemi oczyma powiódł po pacjentach, jakby ich rachował i cofnął się do gabinetu.

Chorzy powstali cicho, z szacunkiem i czekali wezwania.

— Czy mam jeszcze prosić? — odezwał się ostry głos lekarza.

Wsunęła się nieśmiało jedna kobieta, potem druga i trzecia.

Pozostało ich jeszcze troje.

— Proszę — wymówił znowu lekarz.

Wyrobnik w niebieskiej bluzie niemym znakiem zrobił ustępstwo studentowi, student — dziewczynie.

Podniosła się pospiesznie, rzucając chłopakowi spojrzenie, pełne wdzięczności.

Wtem na zegarze kościelnym uderzyła dziewiąta. Na twarzy chorych wybił się przestrach, na obliczu lekarza prawdziwe zadowolenie.

— Wizyta bezpłatna skończona — rzekł — można przyjść jutro.

Trzy pary oczu spoczęły z niewymownym żalem na drzwiach gabinetu, które szybko zamknęły się za przyjacielem i dobroczyńcą cierpiącej ludzkości...

Teresa Klemensiewiczówna.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Ciąg dalszy).

W przeciwieństwie do swoich poprzedników, opierających się na konserwatywnej naturze chłopa, zachowującego wiernie wyobrażenia z najodleglejszej epoki, zaakcentował Berwiński lotność, zmienność i podatność tradycji ludowej. Powieści ludowe podobne są — że użyję jego pięknego porównania — do owych rzek wielkich, które przez liczne przepływając kraje, przyswajają sobie własności gruntów podmywanych, z każdego coś zabiorą i w łonie swojem rozpuszczą — tak że ich fale, choć jasne u źródła, nieprzejrzystemi częstokroć stają się przy ujściu. Gruntami przez podania ludu spławianymi i podmywanymi — są wieki, im więcej ich takie podanie przepływa: tem więcej się zamąca; nierzadko w chwili poczęcia na prawdziwem zdarzeniu historycznem osnute, zmienia się czasowymi okolicznościami i nieraz pierwotną jasność i barwę zupełnie utraca, albo

ją obcemi naleciałościami tak przyćmiewa, że wprawnego trzeba oka, żeby jej pod niemi dopatrzyć.

Kiedy powszechnie przyjmowano wpływ poezji ludowej na literaturę książkową, on stosunek ten odwrócił i wykazał, że pod słomianą strzechą spotkać można niejedną prawdę, złożoną w foljantach zaledwie wykształconym przystępnych, z których się dopiero rozeszły między ludem. Pieśni mniej jeszcze od podań nastręczają zasobów historycznych i językowych, na których wnioski jakkolwiek pewne, oprzećby się dały. Naginają się bowiem do modulacji wiatrów okolicznościowych, jak fale jezior ruchliwe, a jak dzieci chwilowego natchnienia, ulegają zbyt wielkiej śmiertelności; połowa z nich przebrzmiewa, ledwie zaśpiewana, druga, przechodząc wiekami z ust do ust, poddawać się musi to wpływom czasowych wydarzeń, to kaprysom każdorazowych natchnień piewcy, który je odtwarza. Na staroświeckie tło dorzucone coraz to świeższe kolory i barwy, zmieniają nieraz pierwotny charakter obrazu, aż do niepoznania. To znów przenosząc się z miejsca na miejsce, jak sznur wędrownych żórawi, gubią się często po drodze, inne lecą dalej i osiadają gdzieindziej.

I Maciejowski (Piśmiennictwo polskie 1851 II. 274) wyprowadzał wspólność klechd i zabobonów ludowych na drodze historycznej, lecz przypuszczał dwie tylko drogi: pośrednictwo handlowych stosunków i pątnictwa wędrówek. Do tych dróg dodaje Berwiński trzecią kościelną, po której za nauką Chrystusową postępowały w maruderce owe niestworzone bajdy, których opowiadaniem klecha, sztukę czytania znający, zarabiał sobie na kawałek chleba.

Wyprowadzając zgodność podań i zabobonów z ogólnej dyspozycji ducha ludzkiego, akcentuje on prócz tego, psychologicznego pomiędzy niemi pokrewieństwa, polegającego na wspólnej całego rodzaju ludzkiego skłonności, także i pokrewieństwo historyczne t. j. takie, przez które zabobony, gusła i czary jednego ludu przechodziły na inne czasy i do innych ludów.

Stan naszej mitologji wykaże najlepiej przykład konkretny. Weźmy podanie o Krakusie i Wandzie. Lelewel w Uwagach nad Mateuszem herbu Cholewa (1811) wychodząc ze stanowiska szkoły racjonalistów 18 w. uważa podanie to za proste zmyślenie (»oczywiste brednie«). J. Bielowski we »Wstępie do dziejów Polski« uważa podanie to za wymysł późniejszy (z XIII. wieku), dopiero z książek przeszły w podanie ludu w 15 stuleciu. Przeciw temu pojmowaniu wystąpili Łepkowski (O tradycjach narodowych 1861 i Szajnocha w swym »Lechickim początku Polski«, który przypuszcza rzeczywiste istnienie Krakusa i Wandy (po części nawet smoka), jako osób historycznych. Lisiecki w »Badaniach historycznych podania gminnego o smoczej jamie« (w Dodatku do »Czasu« 1857 VIII), uważa podanie za wytwór obcy, sięgający IX. wieku i pochodzący od Gotów, tłómaczy je zaś alegorycznie. Smok panuje — są słowa Lisieckiego — w wszechświecie pod trzema kształtami, już to jako duch opiekuńczy dobrego lub złego, to znów jako godło czynności, a nakoniec jako uosobiciel odszczepieństwa i herezji. Pierwszy zjawia się w starożytnym świecie u Greków i Rzymian, następnego wielbią ludy pochodzenia germańskiego, a ostatni jest wynikiem powstającego światła wiary chrześcijańskiej. U nas w Polsce, oznacza smok najwyraźniej pogaństwo, a jego zagłada tryumf wiary chrześcijańskiej.

Römer w podaniu o Kraku i Wandzie (umieszczonem w Bibl. Warsz. 1872 III.), stara się jeszcze utrzymać podanie o Kraku, jako osobistości rzeczywiście istniejącej, kiedy postać Wandy, rozpływa mu się w falach Wisły i ginie gdzieś w pogańskim kulcie wody. W czasach, kiedy wyobrażenia pogańskie zacierać się poczęły, uplotła fantazja gminna baśń o pięknej królewnie, zabarwioną blaskiem owej czarującej doliny, kędy Wisła jasną wstęgą opasuje Wawel. — Ks. Petruszewicz w rozprawie pt. Koroczun-Krak (Lwów 1876) uważa i Krakusa za kreacją mityczną, znaczącą tyle co Bożyc. Święto Bożyce obchodzili Słowianie w dzień zimowego przesilenia na cześć słońca K r o c z ą c e g o (stąd Krok, Krak itp.) po sklepieniu niebieskiem. Przy zaprowadzeniu wiary chrześcijańskiej ojcowie kościoła dla zatarcia i zakrycia pogańskiego święta, postanowili na ten sam dzień wzejścia Bożyca (tj. 25. grudnia) przenieść narodzenie syna Bożego.

C. d. n. *Henryk Biegeleisen.*



POGLĄDY PUŁKOWNIKA*)

NOWELA

przez

GUY de MAUPASSANT

— Co to gadać, panowie — mówił pułkownik Laporte — mam podagrę, nogi drewniane, jak kłody, a jednak... jednak, gdyby mi kobieta — ma się rozumieć ładna kobietka — kazała przejść przez uszko od igły, to zdaje mi się, żebym przez

*) Nowelę tę, wraz z innemi, pomieściło »Figaro« w numerze, poświęconym 25-letniej rocznicy Sedanu.

nie przeskoczył, jak »clown« przez obręcz. Taki już umrę. To we krwi. Jestem ze starej szkoły; widok kobiety — ma się rozumieć kobiety ładnej — przejmuje mnie żywem wzruszeniem.

Zresztą, my Francuzi, tacyśmy wszyscy potroszę. Do końca świata pozostaniemy rycerzami miłości. Skasowano u nas Boga, któremuśmy sercem i mieczem służyli, ale kobiety żadna władza z serc naszych wyrugować nie zdoła. Dopóki Francja istnieć będzie na karcie Europy, dopóty będziemy gotowi na wszelkie dla niej szaleństwa. A choćby nawet Francja znikła, to Francuzi zostaną.

Ja, panowie, dla oczu kobiety — pięknej kobiety, ma się rozumieć — poszedłbym w ogień, jak ćma Do stu piorunów! gdy czuję na sobie jej spojrzenie, jej anielsko piekielne spojrzenie — takie, co to war wlewa w żyły, tobym wyskoczył ze skóry, chciałbym walczyć, bić się, meble gruchotać, pokazać, żem silny, odważny, najśmielszy i najdzielniejszy z ludzi!

A czy to ja jeden tego doświadczam? Cała armja francuska tak samo. Gdy chodzi o kobietę — o piękną kobietę, ma się rozumieć — to od szeregowca do generała, każdy poleciałby za nią w piekło. Przypomnijcie sobie, do jakich czynów zagrzała nas swego czasu Joanna d'Arc!

Ha! gotów jestem iść z wami o zakład, że gdyby w przeddzień Sedanu, gdy marszałek MacMahon został ranny, dowództwo naszej armji objęła kobieta — piękna, ma się rozumieć, to przedarlibyśmy się, jak nic przez pruskie szeregi. Paryż nie potrzebował żadnego Trochu. Trzeba mu było jakiej św. Genowefy.

Przychodzi mi właśnie na myśl drobny epizod wojny, świadczy wymownie, że wobec kobiety sił i odwagi nam przybywa.

Byłem wtedy kapitanem — prostym kapitanem — i dowodziłem pikietą, która musiała się cofać, wśród okolicy, zajętej przez Prusaków. Otaczano nas zewsząd, ścigano, tropiono, padaliśmy poprostu z wycieńczenia i głodu. Przed jutrem trzeba było dotrzeć do Bar-sur-Tain, inaczej mogli nas odciąć od naszych, usiec, pomordować haniebnie. Dotychczas cudem niemal udało nam się umykać przed wrogiem.

Mieliśmy więc przed sobą mil dwanaście, a trzeba je było przebyć wśród nocy, po śniegu i pod śniegiem, o pustych żołądkach. Myślałem sobie: »Źle z nami! Moi biedni ludzie nie zajdą. Trzeba będzie głową nałożyć«. Nie mieliśmy nic w ustach od wczoraj. Dzień cały przeleżeliśmy ukryci w stodole, przytuleni do siebie dla ciepła, a tacy wycieńczeni, że ani ruszyć ręką, ani nogą; co chwila zapadaliśmy w drzemkę i budziliśmy się znowu, jak zwykle przy wielkiem zmęczeniu.

O piątej wieczór — a było ciemno, choć oko wykol — obudziłem moich. Ten i ów podnieść się nie mógł, ani się utrzymać na skostniałych nogach. Przed nami leżała olbrzymia biała płaszczyzna, a śnieg walił i pokrywał ją coraz grubszym całunem, jakby materacem z wełny śnieżnej.

— W drogę, chłopcy! — wołałem.

Patrzyli na tę białą kurzawę, a czułem, że myślą:

— Dość już tego. Umierać, to lepiej tutaj.

Wydobyłem rewolwer.

— Kto się ociąga, kulą w łeb! — wrzasnąłem.

Wstali wszyscy, wlokąc za sobą nogi, jak nie swoje. Wysłałem czterech na zwiady o trzysta metrów naprzód, reszta ciągnęła w nieładzie. Ustawiłem z tyłu dzielniejszych, rozkazując im, aby kłuli bagnetem w plecy maruderów.

Zdawało się, że śnieg nas żywcem pogrzebie: osypywał kaszkiety, płaszcz, tworzył na nich grubą, nietopniejącą skorupę.

— Nie wydostaniemy się ztąd, chyba cudem! — powiadałem sobie.

Co parę chwil trzeba było stawać, bo temu lub owemu sił brakło, a wtedy, wśród ciszy grobowej, słychać było tylko szelest spadających płatków śniegu. Rzadko który otrząsał go z ubrania — reszta nie mogła już na to się zdobyć.

Dawałem sygnał do dalszego pochodu, przewieszano broń przez ramię, wleczono się z wysiłkiem szalonym. Nagle nasza pikieta zawróciła, bo ją doleciał szmer, niby ludzkich głosów. Wysłałem naprzód sześciu ludzi i sierżanta. Czekałem.

Ciężką, ponurą ciszę przerwał krzyk ostry, okrzyk z piersi niewieściej.

Przyprowadzono nam dwoje jeńców: starca i młodą dziewczynę. Uciekali przed pijanymi Prusakami, którzy wieczorem wtargnęli do ich domu. Ojciec bał się o córkę i nie uprzedziwszy nawet służby, umknął z nią wśród nocy.

Poznałem w nich odrazu mieszczan dostatnich.

— Pójdziecie z nami — rzekłem.

Ruszyliśmy. Ponieważ stary znał dobrze okolicę, więc nam za przewodnika służył. Śnieg ustał, pokazały się gwiazdy, większy jeszcze mróz chwycił.

Dziewczyna, opierając się na ramieniu ojca, szła krokiem chwiejnym. Słyszałem, jak powtarzała: „Nóg już nie czuję!“ — i żal mi serce ściskał, więcej chyba jeszcze od niej cierpiałem, widząc, że nic jej pomódz nie mogę.

Nagle stanęła.

— Ojcze! — rzekła — sił już nie mam. Nie mogę iść dalej. Tutaj zostanę!

Chciał wziąść ją na ręce, lecz podnieść jej nawet nie mógł: runęła na ziemię.

Ludzie moi otoczyli ich natychmiast, ja przestępowałem z nogi na nogę, nie wiedząc, co począć. Za nic na świecie nie byłbym opuścił tego starca i tej dziewczyny.

W tem jeden z moich żołnierzy, Paryżanin, przezwany *Pratique*, zawołał:

— Dalej, chłopcy, poniesiemy panienkę, albo do stu piorunów, nie- godniśmy imienia Francuzów.

Ja aż zakląłem z radości.

— Dobrze powiedziane, *sascrebleu!* Do dzieła!

Drzewa majaczyły w oddali. Paru ludzi odbiegło: wrócili niebawem z noszami, zrobionemi naprędce z gałęzi.

— Kto da płaszcz? — wołał *Pratique*. — Płaszcz dla ładnej panienki. Zywo!

Rzucono mu dziesięć płaszczy pod stopy. W mgnieniu oka owinięto ją w ciepłą odzież, złożono ostrożnie na gałęziach; sześć dzielnych bark uniosło ją w górę.

Stanąłem na czele oddziału; zmęczenia już wcale nie czułem.

Ruszyliśmy raźniej, jak po kieliszku wina. Do uszu moich dolatywały nawet żarty i śmiechy. Bo to, widzicie, Francuzowi dość popatrzeć na kobietę, aby sił nabrał. Stary wiarus, który szedł za lektyką, ażeby zluzować pierwszego, który się zmęczy, do sąsiada swojego szepnął tak głośno, żem usłyszał:

— Kobieta, panie, to kordjał! Nie ma jak kobieta dla podtrzymania na duchu!

Szliśmy do trzeciej z rana bez ustanku. Nagle pikieta zawróciła. Przypadliśmy do ziemi, tworząc jakby czarną plamę na śniegu.

Komenderowałem głosem przyciszonym. Po za mojemi plecami rozlegał się suchu chrzęst nabijanych broni. Tam zdala, na białej równinie, poruszało się jakieś olbrzymie cielsko: biegło, zataczało koła, rozwijało się, jak wąż, to znowu zwijało w kłębek, rzucając się to na prawo, to lewo, stając, zatrzymując się, pędząc przed siebie.

Nagle ta masa ruchoma zbliżyła się ku nam. Ujrzałem dwunastu ułanów, cwałujących sznurem. Widocznie szukali drogi. Byli już tak blisko, że dochodziło wyraźne chrapanie koni i chrzęst siodeł.

Zakomenderowałem: »Ognia!«

Pięćdziesiąt wystrzałów rozdarło nocną ciszę, potem jeszcze kilka, wreszcie jeden, a gdy się dym rozproszył, zobaczyliśmy, że padli wszyscy, dwunastu ludzi i dziewięć koni. Trzy wierzchowce uciekały w szalonym galopie, a jeden ciągnął za sobą uwieszonego na strzemieniu trupa.

Ktoś z moich zaśmiał się okropnie.

— Będą wdowy — rzekł inny. — Był żonaty zapewne.

— Ha! o to nie trudno! — dodał trzeci.

Z lektyki wynurzyła się główka.

— Co to? bitwa?

— A nie, panienko, wyprawiliśmy na tamten świat tuzin Prusaków.

— Biedacy! — szepnęła.

Ale, że jej było zimno, więc znikła znowu pod płaszczem.

Ruszyliśmy. Szliśmy długo. Wreszcie śnieg nabrał połysku, niebo zbladło, zaróżowiło się brzaskiem na wschodzie.

— »Qui vive?« — zapytał głos odległy.

Mój oddział stanął, ja wyszedłem naprzód, aby się dać poznać.

Dotarliśmy do francuskich forpocztów. Komendant, spostrzegając lektykę, pytał groźnie:

— Co tam takiego?

Wyłoniła się główka jasna, roztargana.

— To ja, proszę pana! — szepnęły usteczka różowe.

Słowa te powitane zostały szczerym, serdecznym śmiechem. Radość napełniła nam serca. *Pratique*, stąpający przy noszach, podniósł w górę kepi.

— Niech żyje Francja! huknął.

Sam nie wiem dlaczego, byłem wzruszony. Zdało mi się, żeśmy ocalili ojczyznę, że dokonaliśmy czegoś niezwykłego, na co nie byle ktoby się zdobył.

Ot, krótko powiem: tej drobnej twarzyczki nigdy nie zapomnę. A gdyby mnie pytano o radę, to postawiłbym taki wniosek: trąby do pobudki i bębny, zastąpić w każdym pułku jaką ładną dziewczyną. Toby lepiej skutkowało, niż rzępolenie Marsyljanki. Tam do kata! jakiby to wlało animusz w żołnierza!

Stary pułkownik umilkł, zamyślił się i wreszcie, kiwając głową rzekł:

— Co prawda, to prawda, my, Francuzi, djablo lubimy kobiety — ładne kobiety, ma się rozumieć.

PRO MEMORIA.

16. września 1891. Naczelnik warszawskiego zarządu żandarmsko-policyjnego dróg żelaznych w Królestwie Polskiem, Frydrychs, przesłał dyrekcji kolei Warszawsko-Wiedeńskiej rozporządzenie, aby urzędnicy dróg żelaznych w stosunkach z publicznością nie używali odtąd innego, jak moskiewski, języka.

17. września 1831. Generał Ramorino przeszedł samowolnie granicę galicyjską i wraz z 15 tysięcznym oddziałem broń złożył.

18. września 1794. Miała miejsce nieszczęśliwa dla polskiego oręża bitwa pod Brześciem litewskim między Sierakowskim i Suworowem.

19. września 1861. Wykonano w Warszawie zamach na życie namiestnika hr. Berga.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.